

## ROMAN INGARDEN WE WSPOMNIENIACH

JAN WOLEŃSKI

Liceum (1958 r.) opuściłem z bardzo mierną znajomością filozofii. To i owo było poruszane na lekcjach polskiego i historii, ale wrywkowe i pobieżnie. Logika była przewidziana w planie dla klasy maturalnej, ale większość lekcji z tego przedmiotu zamieniano na tzw. godziny wychowawcze. Zdałem na studia prawnicze. Od ich początku zainteresowała mnie teoria państwa i prawa (dokładniej: teoria prawa). Bardzo podobały mi się też wykłady z logiki W. Woltera, elementarne, ale znakomicie prowadzone. To były moje pierwsze drogi ku filozofii. A. Delorme prowadzący ćwiczenia z teorii państwa i prawa dostrzegł te zainteresowania. Zaprosił mnie na rozmowę i zasugerował lekturę *Zagadnień i kierunków filozofii* K. Ajdukiewicza, *O metafizyce, jej kierunkach i zagadnieniach* T. Czeżowskiego, *Elementów logiki formalnej* H. Greniewskiego i *Elementów teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk* T. Kotarbińskiego. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie lektura dzieła *Wstęp do nauki prawa i moralności* L. Petrażyckiego. Stale też chodziłem do czytelni Katedr Filozoficznych UJ na Manifestu Lipcowego (dawniej i teraz Piłsudskiego, a jeszcze dawniej Wolska) i studiowałem rozmaite artykuły z *Przeglądu Filozoficznego* i *Kwartalnika Filozoficznego*. J. Szarek, długoletnia kierowniczka biblioteki po latach powiedziała mi, że nie mogła nadziwić się młodym prawnikiem, który spędzał w czytelni filozoficznej znacznie więcej czasu od studentów filozofii.

Już na pierwszym roku prawa myślałem o podjęciu drugich studiów. W grę wchodziła filozofia, psychologia lub socjologia. Dodatkowe studia traktowałem jako przygotowanie do pracy w teorii prawa, której zamierzałem poświęcić się. K. Lepszy, późniejszy rektor UJ, z którym spotykałem się w zamku w Niedzicy na Boże Narodzenie i Wielkanoc doradzał filozofię, głównie z uwagi na postać Romana Ingardena. Postanowiłem zacząć studia filozoficzne od roku akademickiego 1960/1961, ale pojawiły się trudności formalne. Studentem pierwszego roku można było stać się tylko na mocy stosownie zdanego egzaminu wstępnego. Nie miałem jednak ochoty na to, by jeszcze raz zdawać na studia. Nie było zresztą zbyt wiele czasu na przygotowanie się. Znalazło się jednak wyjście. Otóż mogłem stać się studentem filozofii, ale drugiego roku po zdaniu egzaminów i kolokwiów z I roku studiów. Szkoda mi było owego roku studiowania, ale nie było wyjścia. Uzyskałem, aczkolwiek nie bez trudności, wymaganą zgodę dziekana Wydziału Prawa i po przeznaczeniu całych wakacji na naukę zdałem trzy egzaminy: historię filozofii starożytnej i średniowiecznej (u D. Gromskiej), wstęp do filozofii (u J. Leszczyńskiego) i psychologię (u D. Gierulanki), a także zaliczyłem pierwszy rok logiki (u I. Dąbskiej). Wszystko udało się uczynić z wynikiem bardzo dobrym. Do egzaminu z psychologii musiałem przygotować referat. Wybrałem psychologiczne poglądy Petrażyckiego. D. Gierulanka

referat przyjęła, ale bez nadmiernego entuzjazmu co do jego przedmiotu. Potem zrozumiałem, że nie mogło być inaczej, skoro Petrażycki reprezentował psychologię genetyczną w rozumieniu fenomenologów. I tak oto będąc na III roku prawa stałem się też studentem drugiego roku filozofii. Równoległe studiowanie dwóch kierunków w pełnym zakresie nie było rzeczą całkowicie wyjątkową, ale nie było częste. Ponadto, drugi kierunek brało się z reguły będąc na przedostatnim lub ostatnim roku pierwszych studiów. Tak uczynił np. Janek Vetulani (tragicznie zmarły w 1965 r.), który rozpoczął studia filozoficzne będąc na V roku prawa. Dodam, że studenci filozofii powinni zgodnie z regulaminem studiować coś jeszcze, przynajmniej w wymiarze niepełnym.

Nie przyszedłem na studia filozoficzne zielony. Poza tym, co sam nauczyłem się na I roku prawa, wiele dalszych rzeczy poznałem na drugim roku studiów prawnych. Uczęszczałem na proseminarium z teorii prawa prowadzone przez W. Langa. Cały pierwszy semestr zajmowaliśmy się wybranymi kierunkami filozofii współczesnej, głównie neopozytywizmem, pragmatyzmem i reizmem. Krakowskie środowisko teoretyczno-prawne pozostawało pod bardzo dużym wpływem tych właśnie nurtów. Z tym też bagażem doświadczeń filozoficznych znalazłem się na filozofii. O fenomenologii wiedziałem bardzo niewiele. Zderzenie nastąpiło bardzo prędko. Głównym wydarzeniem filozoficznym w Krakowie w r. a. 1960/1961 było seminarium Ingardena, nominalnie dla drugiego, a więc mojego roku. Faktycznie uczęszczali na nie studenci wszystkich lat, pracownicy naukowcy oraz osoby “z zewnątrz”. Seminarium poświęcone było lekturze dzieła Locke’a *Rozważania dotyczące rozumu ludzkiego*. Czytaliśmy tekst w przekładzie Cz. Znamierowskiego, ale ciągle porównując go z angielskim oryginałem. Za to był odpowiedzialny J. Szewczyk, dobrze znający język angielski z uwagi na kilka lat spędzonych w Wielkiej Brytanii. Było to bardzo poważne seminarium. Przez cały rok przeczytaliśmy zaledwie około trzydziestu stron.

Przy końcu pierwszego posiedzenia Ingarden polecił, by zebrać wystąpienia słowa “idea” na pierwszych kilku stronach i zastanowić się, czy znaczy ono to samo w każdym kontekście. Za tydzień zapytał o rezultaty naszych dociekań. Zadanie domowe potraktowałem sumiennie, a bez trudu można było pokazać, że odpowiedź na pytanie postawione przez Ingardena była negatywna. Powiedziałem coś takiego: “Jest wiele wystąpień równokształtnych ze słowem <<idea>>, ale nie wszystkie są równoznaczne”. Gdy Ingarden usłyszał słowo “równokształtny” zdjął obrączkę z palca, zaczął nią uderzać o stół i rzekł “Das ist Warschauer Schule”. W ogólności, gdy był zdenerwowany, często używał niemieczyzny i bębnił obrączką po blacie biurka lub stołu. W rzeczonym dniu, od razu zaczął wyjaśniać, dlaczego konkretne wyrażenia nie mogą być równokształtne. Nie pamiętam tego, czy jakoś broniłem swego stanowiska. W każdym razie uwagi Ingardena nie wydały mi się przekonujące. Byłem już na tyle zainfekowany logiką, że mogłem traktować wyrażenia równokształtne jako klasy abstrakcji od określonej relacji równoważności. Jakby nie było, już zaraz na początku swego przebywania w środowisku Ingardena, zyskałem sobie opinię neopozytywisty, nawet niepoprawnego. Profesor nie traktował mnie jak czarnej owcy. Myślę, że był nawet zadowolony z obecności kogoś, kto przyznawał się do innych poglądów i zainteresowań. Starał się zresztą to jakoś wykorzystać. Sugerował, bym zajął się wczesnymi polemikami pomiędzy Husserlem a Fregem i Schröderem. Zbyt jednak byłem zaabsorbowany teorią prawa, aby podjąć tę propozycję na serio.

Ingarden nie był wrogiem ścisłości i precyzji, aczkolwiek nie uważał, by logika formalna do tego prowadziła. Pamiętam Walne Zebranie Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, bodaj w 1964 roku J. Kotarbińska wygłosiła na nim odczyt “O granicach stosowalności metod logicznych”. Relacjonowała w nim poglądy szkoły Oxfordzkiej (filozofia języka potocznego). Byłem świadkiem jak Ingarden w trakcie spotkania towarzyskiego po zebraniu powiedział do

niej: “Wie Pani, to są barbarzyńcy logiczni”. Jego stosunek do szkoły lwowsko-warszawskiej, nader krytyczny w tekstach, był jednak inny w pewnych okolicznościach. Cenił np. Leśniewskiego i uważał go za jednego z najtrudniejszych dyskutantów. Ingarden często zresztą przytaczał przykład, który zapewne był przedmiotem dyskusji pomiędzy nimi. Dotyczył on rozumienia implikacji i był chyba taki: “Jeśli pies siedzi w budzie (i tu Ingarden dodawał: “Leśniewski miał na myśli budę z psem w środku, a nie zdanie <<pies siedzi w budzie>>), to szczeka”. Wedle Ingardena, rozumienie implikacji takie, że dopuszczało powyższe wnioskowanie, było absurdalne (nie mogę jednak powstrzymać się od komentarza, że Leśniewski miał na myśli to, że dowolny przedmiot może służyć za zwrot językowy; oczywiście, Ingarden nie zgadzał się z tym). Ingarden zżymał się np., gdy przeczytał książkę L. Kołakowskiego o filozofii pozytywistycznej, gdzie szkoła lwowsko-warszawska jest potraktowana jako odgałęzienie neopozytywizmu i mówił, że tak nie można traktować oryginalnego w końcu nurtu w filozofii polskiej, bo jest to coś ważnego w historii naszej kultury.

Sesja letnia w roku akademickim 1960/1961 była ciężka. Na prawie czekały mnie cztery (nie licząc końcowego zaliczenia Studium Wojskowego) poważne egzaminy, mianowicie: prawo cywilne (część ogólna i zobowiązania, prawo administracyjne, prawo międzynarodowe i procedura karna), a na filozofii dwa: historia filozofii nowożytnej (od Bacona do czasów przedkantowskich) oraz logika matematyczna. Jako student prawa miałem stypendium naukowe (wówczas 850 zł, a więc sporo). Aby je utrzymać trzeba było mieć średnią, co najmniej 4 i zaliczyć rok w pierwszym terminie. Wprawdzie wszystkie egzaminy traktowałem bardzo poważnie, ale sesja na prawie była priorytetowa, bo opatrzona sankcją ekonomiczną. Postanowiłem przełożyć egzaminy z filozofii na jesień. I tutaj spotkała mnie przykra niespodzianka. Dziekan Wydziału Historyczno-Filozoficznego (wówczas A. Bochnak, historyk sztuki) odmówił mi. To samo uczynił prorektor d/s studenckich (wtedy K. Kozieł). Ten ostatni powiedział jakoś tak: “Nie kazaliśmy panu studiować dwóch kierunków, a jak pan nie potrafi obu pogodzić, to proszę z jednego zrezygnować”. Zrezygnowałem z przełożenia egzaminów z filozofii na jesień (chyba przedwcześnie, bo trzeba było udać się do S. Grzybowskiego, ówczesnego rektora, który znał mnie z działalności w Towarzystwie Biblioteki Słuchaczy Prawa) i postanowiłem zdawać wszystko w maju i czerwcu. Byłem jednak rozgoryczony tym, że dziekan mi odmówił przełożenia egzaminów, chociaż innym na to zezwalał, ale nade wszystko stanowiskiem prorektora i jego obcesową wypowiedzią. Wydawało mi się bowiem, że władze uczelni winny cieszyć się, że ktoś chce studiować więcej. Tak złożyło się, że w jednym dniu zdawałem procedurę karną i historię filozofii. Procedurę zdawało się u M. Cieślaka. Materiał był spory, a sam egzamin dość stresujący, bo egzaminator reagował plastycznie na złe odpowiedzi, rwał włosy z głowy, krzywił się itp. Zdałem na ocenę dobrą i po pół godzinie rozpocząłem egzamin z historii filozofii. Pytali Ingarden i I. Dąbska; oboje wykładali ten przedmiot. W pomieszczeniach Katedr Filozoficznych zawsze panował przyjemny chłód, ale w tym upalnym dniu czerwcowym, który już od kilku godzin spędzałem w czarnym garniturze, niewiele to pomagało. Potwornie bolała mnie głowa i odpowiadałem nie najlepiej na pytania o Baconie i Hobbesie, o ile dobrze pamiętam. Egzaminatorzy byli wyraźnie niezadowoleni, a Ingarden wprost oświadczył, że spodziewał się lepszych odpowiedzi. Ostatecznie otrzymałem notę dostateczną. Poprosiłem Ingardena o chwilę rozmowy i wyjaśniłem okoliczności całej sprawy (w gruncie rzeczy, trochę wbrew sobie, bo uważałem, że powinienem sobie jakoś poradzić). Reakcja Ingardena była dla mnie niespodziewana. Dość gwałtownie zapytał, dlaczego mu nie powiedziałem o kłopotach ze strony dziekana i prorektora. Odrzekłem, że przecież udałem się do właściwych osób, a odmówili mi zgodnie z regulaminem studiów. Wtedy Ingarden rzekł: “W przyszłym roku proszę przyjść we wrześniu, nikogo nie pytając się o zgodę”. Jako legalista

zapytałem: “A co wtedy, gdy dziekan to zakwestionuje?” Ingarden dość gniewnie wycedził: “Niech tylko spróbuje”. Rok później we wrześniu zdawałem historię filozofii (po Kancie) i etykę. W obu przypadkach otrzymałem oceny bardzo dobre, a nikt w dziekanacie niczego nie kwestionował. Dodam, że Ingarden był dziekanem w latach 1958-1960 i słynął z liberalizmu wobec studentów. W szczególności, patrzył przez palce na niedopełnianie przez studentów filozofii obowiązku studiowania czegoś jeszcze. Wielu korzystało z tej sytuacji.

Ze wstydem przyznaję, że nie pamiętam seminarium Ingardena w r. a. 1961/1962. Zapewne nie uczęszczałem na nie. Może dlatego, że było z estetyki, który to przedmiot nie interesował mnie specjalnie, może dlatego, że termin z czymś kolidował, może dlatego, że zdecydowałem się na seminarium u Dąbskiej ze *Wstępu do metafizyki* Bergsona. Natomiast dobrze pamiętam wykład Ingardena z historii filozofii współczesnej. Zgodnie z programem miał on obejmować XIX i XX w., ale Ingarden poświęcił cały semestr Kantowi. Był to rewelacyjny kurs, który mam w pamięci do dzisiaj, zwłaszcza te wykłady, które pokazywały związki fazy krytycznej z przedkrytyczną u Kanta. Niewątpliwie Ingarden przekazywał nam to, co zbadał w związku ze swą pracą nad tłumaczeniem *Krytyki czystego rozumu*.

Pamiętam też dobrze lektury dzieł Ingardena i niekiedy ich nieoczekiwane skutki. Najwcześniej przeczytałem *O dziele literackim*. To wyjaśniło mi wspomniany opór Ingardena w sprawie równości. W 1962 roku zdawałem egzamin z prawa finansowego. Gdzieś tam pojawiło się pojęcie wskaźnika. Użyłem wyrażenia “wskaźnik kierunkowy” występującego u Ingardena w semantycznej charakterystyce nazw. Egzaminator zezłościł się i sarkastycznie zauważył: “A cóż to, jest pan kierowcą?” Przemilczałem tę uwagę, bo przecież trudno było argumentować, że nieświadomie posłużyłem się kategorią filozoficzną. I tak dobrze, że nie powiedziałem “intencjonalny wskaźnik kierunkowy”. Wcześniej przeczytałem I t. *Sporu o istnienie świata*. Tom drugi zabrałem ze sobą na poligon wojskowy w lecie 1962 r. Czytałem w tzw. czasie wolnym. Pewnego razu dowódca naszej kompanii poprosił (t.j. wydał rozkaz), bym pokazał, co czytam. Tytuł mu chyba spodobał się, ale gdy zauważył, że jest to tom *Dzieł filozoficznych* R. Ingardena, na twarzy pojawił się wyraz prawdziwego obrzydzenia. Nie, że było to napisane przez Ingardena (bo zapewne nie wiedział, kto to jest), ale, że to były jakieś dzieła filozoficzne. Miałem przechlapane do końca poligonu. Ze *Sporem o istnienie świata* mam w pamięci dwie anegdotki. Gdy powiedziałem M. Rzepińskiej, że czytam I tom tego dzieła, ostrzegła “Proszę uważać. Nie można tego zrozumieć bez wyższej matematyki.” Opowiadano mi też taką historyjkę. Przyjaciele Adama Podgóreckiego, kupili mu *Spór o istnienie świata* jako prezent imieninowy. Zaczął czytać i za jakiś czas zwierzył się ofiarodawcom, że zaprzestał lektury. Wyznał, że już początki były trudne, ale potem poddał się całkowicie. Podobno jednak pokazywano w Krakowie pewną kobietę: “Patrzcie, ona przeczytała cały pierwszy tom.” Po lekturze tego dzieła, obie opowieści uznałem za przesadzone. Niemniej jednak, Ingarden nie pisał łatwo. Krążyła opinia, że myślał po niemiecku i przekładał to na polski. Myślę, że krzywdząca. W każdym razie, wykłady Ingardena były jasne i wygłoszone przepiękną polszczyzną.

Rok akademicki 1962/1963 był ostatnim w karierze Ingardena jako czynnego profesora. Tym razem postanowiłem uczęszczać na jego seminarium. Na pierwszym posiedzeniu Ingarden nieoczekiwanie poprosił, żebyśmy sami wybrali lekturę. “A może coś o reizmie?” – zasugerowałem. Ingardenowi to najwyraźniej nie odpowiadało. Józek Lipiec zaproponował *Dialektykę przyrody* Engelsa. Ingarden elegancko zauważył, że jest to rzecz niedokończona i trudno ją traktować jako ostateczny wyraz poglądów autora. Potem uśmiechnął się i dodał: “Wiecie Państwo, pamiętam jak prof. Ajdukiewicz, chcąc iść z duchem czasu, rozpoczął we Lwowie w 1939 r. ze swymi studentami analizę książki Lenina *Materializm a empiriokrytycyzm*. A ponieważ robił to tak jak zwykł był czynić w przypadku każdego dzieła filozoficznego, po

tygodniu został docentem na Wydziale Medycznym i uczył tam fizyki”. Skoro już padło nazwisko Ajdukiewicza, zapytałem o jego artykuł “Język i znaczenie”. Ingarden przystał na to i z nieukrywanym rozrzewnieniem przypomniał sobie, jak to pisał na maszynie tekst tej pracy po niemiecku pod dyktando Ajdukiewicza. Dodał: “No cóż, wtedy tak pisało się” (była to zapewne aluzja do naszej niezbyt imponującej znajomości języków obcych). Wówczas chyba nie rozumieliśmy znaczenia tego wspomnienia, ale po latach jestem pewien, że była w nim magia Lwowa, charakterystyczna dla tych wszystkich, którym było dane dłużej mieszkać w tym niezwykłym mieście. Łatwo było zresztą zauważyć, że Ingarden z większą sympatią traktował lwowskich przedstawicieli szkoły lwowsko-warszawskiej, niż warszawskich. To pewnie zadecydowało, że zasugerował Dąbskiej i Gromskiej pracę w Krakowie. Jego stosunki z Ajdukiewiczem były zmienne, ale chyba jednak nie najgorsze. W kołach nieprzychylnych Ingardenowi krążyła anegdota, że Ajdukiewicz miał powiedzieć po uzyskaniu przez Ingardena profesury we Lwowie: “Odkąd wprowadził się za ścianę, to z kranu w moim pokoju płynie mętna woda”. Nie sądzę, by Ajdukiewicz to powiedział. W końcu, to on przekonał Twardowskiego, że Ingarden powinien dostać katedrę we Lwowie. To, że obaj wzajemnie zamieścili artykuły w księgach pamiątkowych im poświęconych świadczy, że nie byli sobie dalecy.

Artykuł Ajdukiewicza, jeden z najważniejszych w całym dorobku szkoły lwowsko-warszawskiej, czytaliśmy cały rok. Znałem ten tekst i wydawało mi się, że była to dobra znajomość. Był on popularny wśród teoretyków prawa. W szczególności, stał się on podstawą koncepcji wykładni prawa stworzonej przez J. Wróblewskiego. Częste rozumienie idei Ajdukiewicza jest takie, iż dyrektywy znaczeniowe (reguły sensu) wyznaczają znaczenie wyrażeń. Tymczasem u Ajdukiewicza jest dokładnie odwrotnie: znaczenie generuje dyrektywy, aczkolwiek czasem oba te kierunki są równoważne. Ingarden od razu zwrócił uwagę (u fenomenologa jest to zrozumiałe) na właściwą kolejność rzeczy. W wielu swoich pracach staram się przestrzegać przed mylnym rozumieniem poglądów Ajdukiewicza, dyktowanym jak zdaje się poglądem Carnapa, że to właśnie reguły semantyczne warunkują znaczenie i wtedy zawsze przypominam sobie seminarium Ingardena. Były to rzeczywiście ostatnie zajęcia Ingardena jako czynnego profesora. Potem prowadził *privatissimum* u siebie w domu, ale już na nie uczęszczałem. Z opowiadań wiadomo, że miało ono zaledwie kilku uczestników. Ingarden przed przejściem na emeryturę wielokrotnie podkreślał, że czeka na to z niecierpliwością, bo ma bardzo wiele do zrobienia, w szczególności do napisania. Był jednak bardzo wzruszony, gdy pożegnał się z nami po ostatnim spotkaniu. A potem nie raz z prawdziwym smutkiem konstatował brak normalnych zajęć dydaktycznych i nowych studentów.

Chyba w 1962 roku zostałem prezesem Koła Naukowego Studentów Filozofii UJ. Był to bardzo dobry okres w historii studenckiego ruchu naukowego. Rada Naczelna Zrzeszenia Studentów Polskich przeznaczała spore środki na ten obszar działalności. W 1961 r. odbyło się w Zakopanem ogólnopolskie seminarium studentów filozofii. Przyjazd Ingardena na nie był prawdziwym wydarzeniem. Dla nas, t.j. studentów z Krakowa wiązało się to z wyjątkowym popołudniem spędzonym z Profesorem. Zostaliśmy zaproszeni przez Ingardena do jednej z ekskluzywnych restauracji zakopiańskich (chyba do „Jędrusia”) na kawę, wino, ciastka i koniak. Ingarden tryskał humorem i był ukontentowany towarzystwem młodzieży, szczególnie urodziny dziewcząt, wśród których Joanna Piasecka (jedna z córek Jerzego Turowicza) błyszczała prawdziwą pięknnością. Okazało się, że ten wielki profesor potrafi być najzwyczajniej zwyczajny. Dzisiaj trudno w to uwierzyć, ale w owym czasie nawet studenci z tego samego roku zwracali się do siebie bardzo formalnie. Koleżanki i koledzy z innych ośrodków spoglądali na nas ze zdumieniem i kiwali głowami z wyraźnym politowaniem: “Ot, krakowska specyfika”. Ja byłem tym szczególnie skrepowany, bo na Wydziale Prawa było całkiem inaczej. I właśnie w

Zakopanem owe lody zostały skutecznie przełamane. Myślę, że wspomniane popołudnie z Ingardenem znacznie przyczyniło się do tego.

Ingarden był kuratorem koła naukowego i z tej okazji spotykałem się z nim częściej niż to wynikało z rozkładu zajęć dydaktycznych. Konsultowałem z nim listę osób zaproszonych do wygłoszenia referatów i nieraz pośredniczył w kontaktach. A trzeba powiedzieć, że koło gościło wybitnych prelegentów. Słuchaliśmy Czeżowskiego, Elzenberga, Greniewskiego, Kołakowskiego, Suszki i Znamierowskiego, a także referatów studenckich. Ingarden był zawsze obecny, niezależnie od tego, czy występował profesor czy student. Jedno z takich spotkań warte jest specjalnego wspomnienia. Referentem był Czesław Znamierowski. Gdy zapytałem go o temat, powiedział, że chciałby, jako stary profesor, opowiedzieć studentom o swych najważniejszych poglądach etycznych. Tak też uczynił. Komentował m.in. zasadę powszechnej życzliwości, źródło etyki w jego systemie. I podał taką ilustrację: “Jest oto Jan, który ma żonę Marię, już spracowaną kobietę w średnim wieku oraz przyjaciółkę, śliczną i młodą Laurę. Nasz Jan ma do wyboru albo spędzić wakacje z Marią, albo pojechać z Laurą na Hawaje. Cóż my dyktuje zasada powszechnej życzliwości? Oczywiście, pozostanie z Marią” – oświadczył Znamierowski. “Ale dlaczego?” – dał się słyszeć z tyłu głos Ingardena (zawsze siadał w ostatnim rzędzie). Znamierowski był oburzony i wyksztusił “Romanie, jak możesz”. Na Ingardenie nie zrobiło to żadnego zdarzenia i spokojnie powiedział: “Drogi Czesławie, naprawdę nie podałeś powodów, dla których Jan winien tak właśnie postąpić”. Spór został jakoś załagodzony, ale opisane zdarzenie pokazuje, iż Ingarden bywał czasem dość frywolny. Miał zresztą wielkie poczucie humoru, o którym dobrze świadczy jego powiedzenie (przytoczone niedawno przez M. Gołaszewską): “Człowiek składa się z ciała, duszy i paszportu”. Potrafił też sporo znieść pod względem obyczajów codziennych. Janowi Szewczykowi zdarzało się na seminariach używać dość mocnych (na pograniczu wulgarności) przykładów a nawet epitetów. Ingarden był na ogół zażenowany, ale przechodził na tymi wybrykami do porządku dziennego.

Gdzieś pod koniec 1962 lub na początku 1963 roku powiedziałem do Szewczyka: “Jasiu. Profesor idzie na emeryturę. Może jako jego ostatni studenci ofiarujemy mu książkę pamiątkową. Może to być pod auspicjami koła naukowego. Napiszemy artykuły, ładnie oprawimy i wręczymy”. Szewczyk powiedział, że to dobry pomysł. Po kilku dniach oznajmił mi z wielką ekscytacją: “Twój pomysł przerodził się w ideę normalnej książki pamiątkowej dla Ingardena. Wszyscy o tym zapomnieli poza tobą. Powstał komitet redakcyjny i jesteś do niego zaproszony”. Do owego gremium weszły także następujące osoby: I. Dąmbska, D. Gierulanka, M. Gołaszewska, I. Krońska, A. Póltawski, M. Turowicz i Z. Żarnecka. Zaczęły się gorączkowe prace. Maszynopisy zostały dostarczone bardzo szybko. We wrześniu 1963 książka została przekazana wydawnictwu. Taka była geneza *Szkiców filozoficznych. Romanowi Ingardenowi w darze*. Książka ukazała się w 1964 r. Początkowo chciałem napisać dla tego zbioru artykuł o realizmie i idealizmie w teorii prawa, ale ostatecznie zrezygnowałem. Studentów reprezentował Piotr Waszczenko artykułem o istnieniu intencjonalnym, zresztą powstałym z referatu wygłoszonego na posiedzeniu koła naukowego.

Ingarden otrzymał maszynopis oprawiony w skórę na przyjęciu, które wydał wiosną 1963 roku jako nieco spóźnione urodziny (wydaje mi się, że był to później niż w dniu urodzin, t.j. 5 lutego). Zostałem wyznaczony do wręczenia mu książki. Oponowałem, tłumacząc, że powinien to zrobić ktoś z grona fenomenologów. Gierulanka i Póltawski kategorycznie odrzucili te wahania argumentując, że jako pomysłodawca książki, a także prezes studenckiego koła, jestem najważniejszą osobą dla jej wręczenia. Spotkaliśmy się w trójkę przed wejściem do kamienicy, w której mieszkał Ingarden. Profesor siedział w wielkim fotelu. Podeszliśmy do niego, przyklękłem i podałem mu książkę. Było to jedno z najbardziej fascynujących wydarzeń w moim życiu. Nie

pamiętam, co powiedziałem, ale na pewno coś uroczystego i z całego serca. Ingarden był bardzo poważny i wzruszony. Też nie przypominam sobie, co powiedział. Przyjęcie było zaiste wspaniałe. Większość uczestników stanowili ludzie znacznie starsi ode mnie, głównie ze środowiska akademickiego i rodziny Ingardena. Były bodaj dwie dziewczyny. Ingarden bardzo zachęcał mnie, bym zajął się nimi i nie ukrywał, że sam zrobiłby to, gdyby był w moim wieku. Ja byłem jednak tak poruszony znakomitym gronem akademików, że wołałem przebywać w ich bliskości. Ingarden zapewne wiedział wcześniej o mojej roli w przygotowaniu książki. Otrzymałem w 28 czerwca 1963 roku tom *Z badań nad filozofią współczesną* z taką oto dedykacją “Drogiemu Panu Janowi Woleńskiemu z serdecznymi pozdrowieniami – Roman Ingarden”.

W ostatnim okresie studiów znacznie bardziej interesowałem się filozofią niż prawem. Ta sytuacja nie kolidowała z moimi ogólniejszymi planami, ponieważ chciałem poświęcić się pracy nad filozoficznymi i logicznymi podstawami prawoznawstwa. Byłem zdecydowany, że znajdę się w Katedrze Teorii Państwa i Prawa. Od trzeciego roku studiów prawniczych systematycznie uczestniczyłem w zebraniach katedry, a w 1963 zostałem asystentem. Pracę magisterską z filozofii obroniłem (u K. Pasenkiewicza) w 1964 roku. Kłopoty życiowe i obowiązki zawodowe sprawiły, że moje kontakty ze środowiskiem filozoficznym osłabły. Pozostawałem w bliższym kontakcie z logikami i I. Dąmską (usuniętą z uniwersytetu w 1964). Ingardena spotykałem dość często, ponieważ mieszkaliśmy w tej samej okolicy: on przy placu Biskupim, ja przy ul. Sobieskiego.

Moje spotkania z Ingardenem po 1963 r. były raczej okazjonalne niż planowane. Trzy pamiętam dobrze. W związku ze swą pracą nad zagadnieniem przyczynowości, Ingarden interesował się pojęciami modalnymi. Otrzymałem akurat książkę O. Beckera, *Untersuchungen über den Modalkalkül*. Ingarden poprosił o jej pożyczenie. Nie wiedziałem wówczas, że Becker był uczniem Husserla, co nie było w tym przypadku bez znaczenia. Nie wiem na ile Ingarden znał Beckera i co wiedział o jego nazistowskiej przeszłości. W każdym razie, nic o tym nie wspomniał. Często wyrażał się krytycznie o Heideggerze, nie tylko jako o filozofie, ale także jako człowieku. Inne spotkanie miało miejsce w pociągu z Warszawy do Krakowa. Gdy wszedłem do wagonu restauracyjnego zobaczyłem Ingardena siedzącego z Wolterem. Ukłoniłem się i usiadłem przy innym stoliku. Zaraz jednak Ingarden zaprosił mnie, bym dosiadł się. Wolter znał mnie z Wydziału Prawa, przede wszystkim stąd, że był kuratorem Towarzystwa Biblioteki Słuchaczy Prawa. Byłem świadkiem, jak obaj wybitni profesorowie dyskutowali o negatywnych stanach rzeczy. Ingarden je odrzucał, co Wolterowi podobało się z uwagi na jego teorię, że zaniechanie nie jest przyczynowe. Trzecie spotkanie miało miejsce we wrześniu 1968 r. Spotkaliśmy się na pl. Biskupim. Ingarden powiedział: “Idę dzisiaj odwiedzić profesora Czeżowskiego, który nagle zachorował i przebywa w szpitalu. Może pójdzie pan ze mną?” Oczywiście zgodziłem się. Ingarden opowiadał Czeżowskiemu o zakończonym niedawno kongresie filozoficznym we Wiedniu, w szczególności o specjalnym spacerze Polaków, w tym wypadku Ingardena, o J. M. Bocheńskiego i Cz. Lejewskiego. Po latach zrozumiałem, że to była pewna tradycja, gdy ludzie z Polski spotykali się zagranicą. W 1992 roku odbyło się w Grenoble kolokwium o Leśniewskim. Zaraz pierwszego dnia Bocheński powiedział do Lejewskiego, J. Kalinowskiego i mnie: “Panowie! Jutro zapraszam was na kolację. To będzie polskie i tylko polskie spotkanie”. Wtedy sobie przypomniałem ową wizytę u Czeżowskiego. Tak to czasem po latach rozumie się lepiej błaha na pozór wydarzenia.

Ingarden zmarł 14 czerwca 1970 r. Z pogrzebu pamiętam przede wszystkim wysoką postać o. H. L. Bredy, który przyjechał pożegnać jednego z ostatnich wielkich fenomenologów. A także to, że byłem w grupie niosących trumnę Romana Witolda Ingardena na miejsce

wiecznego spoczynku. Byli tam również Jerzy Perzanowski i Andrzej Wroński.

Nigdy nie uważałem Ingardena za swojego mistrza filozoficznego. Niemniej jednak, wyrastałem w bliskości prawdziwej i wielkiej indywidualności filozoficznej. To zawsze jest ważne, niezależnie od stosunku do takich czy innych poglądów. Ponadto, szereg konkretnych idei Ingardena (momenty bytowe, *quasi*-sądy, prawda, sens i nonsens, zwłaszcza Ingardenowska krytyka zasady sensowności empirycznej, czy wolność i odpowiedzialność) stały się dla mnie inspiracją i powodem napisania kilku prac. Wszelako fenomenologia jako całość nigdy nie robiła na mnie większego wrażenia. I dalej tak jest.

Ostatni akapit napisałem tylko po, by wskazać na to, że chociaż uważam Ingardena za wielkiego filozofa, to czynię tak z pewnego dystansu. Myślę, że to pozwala mi widzieć go nieco inaczej, wierzę, iż bardziej prawdziwie, niż zdecydowana większość tych, którzy z mniejszymi lub większymi racjami uważają się za fenomenologów, właśnie dlatego, że studiowali u Ingardena. Zawsze intrygowało mnie to, że nie stworzył szkoły filozoficznej mimo, że bardzo wiele osób uważa się za jego uczniów. Dlaczego tak stało się? Na pewno zaważyły o tym tzw. okoliczności obiektywne. Gdy skupił wokół siebie we Lwowie pewne środowisko naukowe (E. i L. Blausteinowie, Z. Lissa, S. Łobaczewska), wojna rychło przerwała jego dalszy rozwój. Pięć lat po objęciu katedry w Krakowie, musiał zaprzestać działalności nauczycielskiej, podjął ją po siedmiu latach, ale po kolejnych sześciu znowu przerwał. Brakło więc ciągłości, a ponadto, tworzenie szkół filozoficznych w Polsce było trudne po 1945 roku. Niewykluczone, że decydowała też logika rozwoju fenomenologii, inna niż chciał Ingarden, kierująca ruch ku transcendentalizmowi i antropologii. Ale chyba nie tylko te okoliczności.

Ingarden był tolerancyjny (np. każdy mógł z nim współpracować, niezależnie od żywionych poglądów politycznych), wyrozumiały i... w gruncie rzeczy mało wymagający wobec swych uczniów. Często tłumaczył na seminariach czy zebraniach Polskiego Towarzystwa Filozoficznego patentowany bełkot niejednego z uczestników na zrozumiałą mowę. Było to ujmujące i sympatyczne, ale utwierdzało, przynajmniej niektórych, w przekonaniu, że w filozofii wszystko uchodzi. Mnie np. znacznie bardziej odpowiadał metodologiczny i semantyczny rygorizm Dąbbskiej. Znany jest przykład, gdy Ingarden przyjął pewną pracę doktorską jako minus dostateczną, ale jednak pozytywną, mimo zdecydowanego sprzeciwu jednego z recenzentów. Tak naprawdę był skoncentrowany na swej własnej pracy, a w niewielkim stopniu na tym, co robili inni. Ingarden często powtarzał, że ciągle uczy się, nawet słuchając referatów studentów. Może w tym przypadku chciał nas tylko zachęcić do odpowiedzialnego wysiłku, ale na pewno nie przesadzał, gdy mi powiedział, że chce się czegoś nauczyć ze wspomnianej książki Beckera. Kontaktował się z matematykami i fizykami, by zrozumieć tendencje w tych naukach, odwiedzał klinikę psychiatryczną dla obserwowania i rozumienia zaburzeń w percepcji.

Przy całej otwartości, narzucał swoim uczniom przekonanie, że fenomenologia jest niezwykle trudna (sam nie mam w tej materii zdania). Powtórzyło się to, co sam Ingarden odnotował o Husserlu: "Mistrz przekraczał młodych adeptów fenomenologii, wiedział to, co dla nich było z zasady niedostępne". Moim zdaniem to decydowało, że skupiał wokół siebie bardziej wyznawców, a mniej kontynuatorów. Znamienne jest to, że wielu uczniów Ingardena skierowało się ku fenomenologii transcendentalnej lub antropologii. Aby wyzwolić się od niego z równoczesnym pozostaniem fenomenologiem, musieli zwrócić się ku innym wersjom całej doktryny. Nie wykluczam oczywiście tego, że byli bardziej zainteresowani. Ingarden to dostrzegał i chyba bolał nad swym niepowodzeniem nauczycielskim. Takie przynajmniej odnosiłem wrażenie w czasie rozmów, jakie z nim prowadziłem w latach 1963-1970, a więc po jego przejściu na emeryturę. I to może był powód, że, jak już wcześniej zaznaczyłem, był smutny, gdy zakończył normalną dydaktykę.



Wracając pamięcią po przeszło czterdziestu latach do swego studiowania filozofii, stawiam sobie rozmaite pytania. Gdzie te czasy, gdy na roku było dziesięciu studentów, a na całym kierunku około pięćdziesięciu? Gdzie te czasy, gdy profesorowie mieli odczyty na posiedzeniach studenckiego koła naukowego i słuchali referatów wygłaszanych przez studentów? Czy my, obecni profesorowie, robimy wszystko, co możemy uczynić, by nasi studenci, czuli się w naszym towarzystwie tak samo dobrze, jak myśmy czuli się w kontaktach z Ingardenem czy Dąmbską? Warto o tym pomyśleć. I nam i studentom.

Woleński Jan: wolenski@if.uj.edu.pl